

## Wstęp

Powieść „AiEidN” jest czystą fikcją.  
Wszystkie postaci zostały zmyślane.  
Zło jest powszechne, więc szatan to wymysł  
ciemniejszej strony ludzkiej natury.  
W milczącej pasji, klucząc wśród czarnych dziur,  
błyszczą pojedyncze, zapomniane galaktyki.  
Diabeł to tylko zwykła hipokryzja,  
zaś zło to nasza mała, ludzka obojętność.



Część I  
**Szatan**





Pewnego parnego, sierpniowego wieczora, gdy lejący się z nieba strumieniami piekący żar powoli ustępował miejsca obojętnemu mrokowi, ciszę przecięła fala niekontrolowanej hysterii. Czy była ona wynikiem niebywałej agresji, czy raczej wstydu wynikającego z faktu, że wydano mnie na świat takim, jakim byłem, ludzkim wodewilem? Nie wiem, nie jestem tego pewien. Nie widziałem siebie, nie widziałem nic. Wokół mnie ochronka, siatka maskująca.

Dopóki siedziałem cicho w matczynym brzuchu, nikt przynajmniej nie musiał na mnie patrzeć i ukrywać odrazy, którą odczuwał na mój widok. Stwarzałem za to problemy, bo wykonywałem tak gwałtowne ruchy, że lekarz począł oswajać moją mamę z myślą, że może dojść do poronienia. Starcie ze ściankami materii skończyło się jednak tylko połowiczną klęską, bo pobijałem sobie moje nieprzeciętnie szpetne ciało. Jako zsiniały, łysy stwór zabrałem się poważnie do nauki pływania. Szósty zmysł podpowiedział mi, że mojej matce pozostało jeszcze trochę czasu do rozwiązania, więc dlaczego miałbym go głupio marnotrawić?

Akwen, w którym się znalazłem, okazał się niezłą kipiela, do tego mało przestronną. Wszędzie wyczuwałem płycizny, a panująca wokół ciemność skazywała mnie na trwanie, pomimo wszechogarniającej głuszy. Na zewnątrz mego świata zupełnie posiwiały już lekarz przyglądał się z niepokojem raz po raz, to monitorowi ultrasonografu, to znów niepewnej twarzy mamy. Facet był szczupły, miał prawie całym siwe włosy i brodę. Chodził pod rękę z jakimś grubszym notatnikiem czy dziennikiem, dość, że miał niezmiennie chmurne oblicze. Frasunek wynikał zapewne z odpowiedzialnej pracy i był konsekwencją tego, że nie zawsze wszystko układało się tak, jak pan ordynator chciał.

Jak mówiłem, prokurowałem same kłopoty i zmartwienia. Beze mnie na doczepkę matka byłaby młodą, atrakcyjną ozdobą tego zimnego, wypłowiałego wizualnie i wydzielającego brzydki zapach starego, zaniedbanego szpitala z pordzewiałymi pryzkami. Dość mówić, że ta placówka na nią nie zasłużyła. Zresztą, żaden szpital nie zasłużył na moją mamę – to raczej mama zasłużyła na coś, ale na pewno nie na szpital, w którym nie ma uczuć. Betonowy Eros, który zranił się własną strzałą. Eros, który roztargał się w swej pasji i zgubił kołczan.

Jak to się mówi, mama miała „to coś”, co powodowało, że po prostu podobała się wszystkim. Prawie wszyscy proponowali jej randkę. Nie proponowali tylko ci, którzy uznali, że nie mają u niej żadnych szans. I słusznie, nawet gdyby mama wyraziła zgodę

na spotkanie, nic by nie wskórali. Lubiała jeść ptysie, napoleonki czy wuzetki, ale wcale nie słuchała tego, co mówią ich fundatorzy. Skupiała się na samym ciastku. Nudny absztyfikant mógł co najwyżej zostawić je na talerzyku i sobie pójść. To oddalało możliwość, by cokolwiek stało się obiektem jej westchnień. Mama lubiała, by ciastka niekoniecznie były podawane na talerzu. Doktor, który starał się być ideałem, stroszył piórka. Ukrywał swą małość pod pierzem, zamiast zwalczać ją choćby czytaniem beletrystyki. Jakaż to przyjemność zatracać się na kartkach powieści, pogrążając się w bezrozumnym uwielbieniu dla bohatera! Ileż to godzin dodatkowo spędziłbym nad książkami, gdybym miał tylko czas... Ale coś wypchnęło mnie w kierunku życia biologicznego, wrywało mnie do tych nieznanych przestrzeni pozbawionych stron i okładek. Zrazu także fabuła, która czekała mnie za kilka stron, wydała mi się banalna i mało nęcąca. Dziewięć miesięcy w brzuchu, a później faza miauczenia do całego świata o pomoc, żeby przetrwać. Nie podobało mi się to. Woląłem coś bardziej literackiego. Wprawdzie nie siedziałem w brzuchu z książką, ale w pamięci miałem jej same dobre strony. Nie interesowały mnie romanse pana doktora. Ignorując je, przetwarzałem w głowie historię Martina Edena. Skąd ją znałem? Naprawdę nie wiem. Ale prawdą jest też, że znałem ją wybiórczo. Muszę przyznać, że najbardziej ujął mnie jej koniec: gościu, który uznał, że jest pod ścianą, nie główkował więc nadaremnie. Nie szukał żadnych alternatyw. To, co odtworzyłem w swojej pamięci, wyglądało

tak: on po prostu sam doprowadził się do tej ściany, schwytyany przez los, w zarzucone przezeń sieci. Jak to jest, kiedy płynie się na dno oceanu, wiedząc, że nie wystarczy powietrza na powrót? Pierwszy nurek był przedostatnim, pożegnalnym. Schodził na dno, wiedząc, że może jeszcze wrócić. W wyobraźni widziałem tę surową twarz, która po tym wynurzeniu wyraziła to, co chciała wyrazić: „To jednak nie jest świat dla mnie...”.

Martin Eden zachowany w mej pamięci przez dziewięć miesięcy to Eden, który musiał zanurkować dwa razy. Dopiero drugi raz był samobójczym zejściem. Zanurzony w wodach płodowych łatwiej pojmowałem tragizm faceta, który płynął bardzo długo na samo dno, żegnając się z tym światem po drodze, schodząc zbyt głęboko. Gościa, który odnalazł siebie w zatraceniu się. Ale czy czekający na mnie na zewnątrz rajski świat nie jest jak ów, w którym utonął Eden? Toż przecież nazywano go Niebem...

Dlatego postanowiłem nie zwlekać i jako najmłodszy na świecie samobójca chciałem odebrać sobie życie od razu, jeszcze przed narodzinami. Za małość, za brzydotę, za podłą ułomność, jaką jest głupota, do diaska! Nie czekając, aż wprawię własną matkę w zakłopotanie, postanowiłem zawczasu zawiązać sobie pętlę czasu. Wiłem się w brzuchu jak piskorz, byle tylko uchronić mamę przed złośliwością i szyderstwem tych, którym dane byłoby poznać mą szpetotę i rachityczność. Ale zziębnięte, skurczone od wód płodowych palce były tak nieprecyzyjne, że próby zrobienia supła kończyły się, jedna po drugiej, fiaskiem. W nerwach i w stresie



postanowiłem podjąć jeszcze jedną, ostatnią próbę. Przypominała ona gorączkowe rozbieranie bomby na dziesięć sekund przed eksplozją. Byłem jednak bardzo zdeterminowany: ten świat nie może ujrzeć mnie żywego! Dla dobra mojego, no i jego! Na twarzy nieświadomego mej próby samobójczej lekarza najpierw odmalował się strach. Nie rozumiał bowiem, co wywołało tę dużą, niekontrolowaną aktywność ruchową. Nie przewidział, że będę tak wierzgał... Dla mnie na razie istniało tylko to, co widziałem bądź czułem, i mam nadzieję, że tak pozostanie. Nie chcę być ani bożyszczem, ani jego wyznawcą, ani starożytnym kosmitą. Chcę być jak ruchomy punkt obserwacyjny w lesie – czasem stracić orientację i zanocować w szałasie. Czy jak z niego wyjdę, będzie bezpieczniej? Obawiając się o to, zawiązałem sobie pępowinę. Na zwykły, prosty węzeł, przecież chciałem uniknąć rozgłosu. Gdy niebiański lekarz zastanawiał się, czy nie popełnił jakiegoś błędu w zaleconych mamie medykamentach, nagle przestałem kopać: pętla była gotowa.

Pan doktor wprost nie posiadał się z radości, gdy odkrył, że dzikie stworzenie, które skrywał brzuch mojej mamy, dało wreszcie za wygraną i przestało ślepo walczyć z rzeczywistością. Po chwili, śledząc obraz z monitorów, zrozumiał, że jego radość była przedwczesna. Nerwowo wyjaśniał personelowi, przechylając posiwiałą głowę:

– Dziecko przestało wprawdzie kopać, ale obserwując, co się stało, stwierdziłem niedrożność pępowiny. Niestety, wszystko wskazuje na to, że zrobił się

na niej węzeł. Z każdym ruchem dziecka ścisk jest coraz większy i nie wygląda to dobrze. – Doktor wyraźnie się zasepił, chwytając kurczowo pomalowaną na biało stalową poręcz łóżka. Przerzucił grzywę tak, by nie drażniła oczu.

– Czy supeł zagraża jego życiu? – zapytała szybko i niepewnie mama, która słysząc, co mówi, również poczęła nerwowo odgarniać z czoła włosy. Lekarz popatrzył na nią niezdecydowany, nie bardzo wiedząc, co jej na to odpowiedzieć.

Uciekł na moment myślami, po czym przełknął ślinę i zaczął ostrożnie rozwijać wątek:

– Jeszcze nie mam pewności, ale wygląda na to, że trzeba będzie przyspieszyć poród. Tak będzie po prostu lepiej. Bezpieczniej dla małego.

Mama zerknęła na niego badawczo, próbując wysondować, czy czegoś przed nią nie ukrywa, ale doktor, jakby wyczuwając jej obawy, uprzedził kolejne pytanie:

– Proszę się nie denerwować, wszystko będzie dobrze. Damy tylko leki przyspieszające poród i wykonamy cesarskie cięcie. – Wyraźnie starał się, by ton jego głosu był uspokajający, choć wewnątrz targaly nim emocje. Chciał mnie uratować! Naiwniak, nawet nie zdawał sobie sprawy, że wyczuwam jego obecność i poniekąd go obserwuję. Wysilek zwiększał zaś moje szanse na to, że lekarze nie zdążą mnie uratować. Nagle, rozpychając przed sobą desperacko wodę, poczułem, że tracę dech. I to był właśnie ten moment. Pomyślałem, że tracić go z wyboru byłoby łatwiej. Dusząc się, przejrzałem wreszcie na oczy! Zdałem

sobie sprawę, jak bardzo chcę żyć. Wszyscy wokół oczekiwali mnie. Lekarz byłby zawiedziony, gdybym nie okazał się jego kolejnym, dobrze odebrany porodem. Szpitalne statystki ucierpiałyby przez mój egoizm, introwertyzm, wreszcie moja mama najbardziej odczułaby tę moją brzuszna emancypację. Może odeszłaby od zmysłów? Nie wiem, bo, jak wspomniałem, naraz począłem żałować tego wszystkiego, co czekało na mnie na zewnątrz w postaci cywilizacji, materii będącej tworzywem i... kłup.

Co było dalej – nie pamiętam. Dowiedziałem się tego z relacji matki, która opowiadała mi później, że zamiast zwykłej, horyzontalnej pozycji, przyszedłem na świat niegrzecznie odwrócony do niego pupą, dając mu tym samym od razu do zrozumienia, gdzie go mam. Widać, mimo ignorancji, jakaś siła pchała mnie uparcie naprzód, do świata, choćby i na wstecznym biegu.

Niekontrolowana, parła przed siebie z impetem ku światłu. Regularnie zasilana mlekiem, dobrze nim noliwiona, ani myślała zwolnić, pogrążając mnie zupełnie w nowym świecie.

Gdy wreszcie opuściłem szare, szpitalne pomieszczenia, zacząłem mówić sam do siebie, oszołomiony dziwnymi doznaniem pochodzącymi z zewnątrz, przekonany, że niechybnie zostanę strącony do Tartaru. Może dlatego zapamiętane przeze mnie spostrzeżenia były niekompletne, urywane i ograniczone w formie. Towarzyszący mi w tej scenerii rodzice jawili się na przemian jako uśmiechnięte, dobre duszki, to znów jako czające się potwory, próbujące mnie za wszelką

cenę przywołać do porządku z użyciem hałaśliwej grzechotki. Moi rodzice byli ludźmi wykształconymi, a przez to najbardziej poszkodowanymi w realiach lat osiemdziesiątych. Pierwszy lepszy chłopek-roztropek bez jakiegokolwiek szkoły mógł, dzięki cwaniactwu i powszechnie akceptowanym w naszym niebiańskim świecie fuchom, zarobić więcej niż mój tata, czyli zdany na państwową pensję nauczyciel.

Choć wówczas nie mogłem o tym wiedzieć, na swój sposób też cierpiałem, bowiem krew pulsowała we mnie z każdym miesiącem coraz energiczniej, a otoczona popeliną, zaczęła tracić swe ożywcze własności. Fakt, że ograniczały mnie ze wszystkich stron betonowe grodzie uzbrojone w kilimy, kafelki podłóg czy kasetony, nie był jeszcze najgorszy. Znacznie bardziej doskwierał mi brak powiewu wolności. Charakterystyczny grymas otoczenia, które przyjmując różne postacie, było jednak odczuwalne w ten sam przykry sposób: papierowi ludzie w domkach z tektury, piszący do siebie w ramach oszczędności liściki na makulaturze. Złe łabędzie i czarna wołga. Syfony i kopalniane proporce. Kościoły, kioski „Ruchu” i nierówne chodniki.

Pewnego dnia, w półmroku ujrzałem nad sobą ściśnięty w beładzie tłum, który w panice przygotowywał się do jakiegoś misterium. Jako malec nie rozumiałem jego sensu, ale panujący wokół rozgardiasz wiele mi wyjaśnił.

– Ostrożnie, uważaj, nie łap dziecka za główkę. – Napominała kogoś jakaś pani, po czym niezwłocznie dodała:

– No, szybciej, do cholery! Ksiądz będzie lada moment, a ty się jak zwykle guzdrzesz.

Nad moją umęczoną głową, wokół kłębili się jacyś dziwni ludzie pragnący, by ich dzieci doświadczyły czegoś świętego. Od pospolitości do wyjątkowości. Tym razem jednak naukowe mowy lekarzy i czcze komentarze pielęgniarek zastąpił jakiś wyniosły pan w świetlistej pelerynie, równający w imieniu Boga wszystkich, którzy skłonni byli nadstawić kark. Wówczas, zachęcony okazanym mu zaufaniem, wcierał w nas bez opamiętania jakiś tajemniczy eliksir. Odświętny, złocisty ubiór pasował doskonale do złocistego tabernakulum i spoczywającej na ołtarzu świecy paschalnej. Nastrój panował uroczysty, a organy grały smętne tony. Bezbronny, pojmany przez świat, usłyszałem nad głową jakieś dziwnie brzmiące abrakadabra i omal nie narobiłem ze szczęścia. Kątem oka dostrzegłem, że inne dzieci pomazano w taki sam sposób, wywołując tym u nich podobną do mojej reakcję. Nie wiem czemu, ale bardzo poprawiło mi to humor i naraz przestałem płakać. Doświadczyłem tego, co inni, i zachowywałem się jak inni, a to już przecież co innego. A to wszystko działa się w Niebie, co tylko uspiło moje podejrzenia.

\*

Minęły cztery lata. Po drodze nazwano mnie Stanisław. Używano tego imienia wielokrotnie w różnej formie, pragnąc umilić mi panującą nudę. Codziennie dochodziły do moich wrażliwych uszu Stasie, Stasiunie,

Stasiénki i rózne inne trele-morele, które w gruncie rzeczy robiły na mnie niewielkie wrażenie. Zamiast wysłuchiwać naiwnych piosenek w rodzaju *Śpij, kochanie... Aaa, kotki dwa*, w moje czwarte urodziny po-  
cząłem kierować wzrok na to, co interesowało mnie najbardziej, czyli na kobiety. Wszędzie było ich pełno. Od blasku ich klipsów i broszek jaśniało na klatkach schodowych. Tupot ich szpilek słychać było na każdym liczącym się chodniku. Ich wysoki głos rozbrzmiewał w każdym zakątku kościoła. Jako mały, z trudem łapiący równowagę brzdąc, mogłem je jednak w zasadzie tylko oglądać, zdając się przy tym na dziecięcą intuicję. Moja bezgraniczna ufność sprawiła, że patrzyłem na piękne panie, które nas odwiedzały, bez cienia krytycyzmu, za to z niekłamanym uczuciem:

– Boże, to potwór! – wrzasnęła przerażona sąsiadka na widok mojej garnącej się do pieśczot rączki. Skonfundowana pani miała może ze trzydzieści lat, więc wołała wkładać sobie ze zdziwienia do oka polakierowane pazury, niż uwierzyć, że czteroletnie dziecko potrafi wsunąć jej rękę pod spódnice, zupełnie niespeszone...

Zresztą, byłem od niej chyba jeszcze bardziej zaskoczony. Tłumaczyłem jej dziecinnie:

– Nie krzycz, mała. Naprawdę, nie trzeba. Albo tylko tak mi się zdawało.

Nie lubiłem się rozgadywać. Chciałem tylko sprawdzić, czy pod spodem ta pani też jest taka ładna jak na zewnątrz, nic więcej.

Ubrane w krótkie, plisowane spódniczki i wydekoltowane bluzeczki panie często się u nas w domu

zjawiały, ale za każdym razem chciałem tylko sprawdzić to jedno właśnie: czy ta ich pierwszorzędna atrakcyjność jest naturalna. Próbowałem do tego dojść różnymi metodami. A to skacząc po tapczanie na tyle wysoko, by zajrzeć im za dekolty, to znów łasząc się do ich kolan jak niezgrabny kotek, prując niby to przypadkiem muślinowe apaszki i nylonowe rajstopy. Mogłem więc przy tych zabawach do woli obserwować ich biusty, dojrzewające niczym rododendrony pod białą, nieskazitelnie czystą skórą. Jedna z pięknych pań nosiła nawet koronkową bieliznę, co było za komuny nie lada rzadkością. Do tego oczka ściągów były na tyle rzadkie, by ujrzeć między nimi wydatne, gotowe do pieszczot sutki. Wystarczyło tylko mocniej odbić się od tapczanu, by przez ułamek sekundy podziwiać z góry tę kształtną pierś niemal w całości. Takiemu jak ja, niedoszłemu samobójcy, dawało to poczucie, że jednak mam po co żyć. Jednoznacznie sygnalizowało, że jest jakieś tabu, które warto złamać i odkrywać bez wahania. To tabu zostało przez naturę wyposażone we wszystko, co potrzebne, by przestać nim być.

Tak bardzo pragnąłem wszystko poznawać i wszystkiego dotykać. Swoje szanse pokładałem w tym, że poporodowe zaróżowienie skóry zniknęło i przestałem przypominać nieszcześnie dziecię rusalki. Powoli stawałem się ziemianinem. Straszna brzydota, która przyszła wraz ze mną na świat, odpuściła nieco. Pozwoliła wyjść ze mnie temu, co bardziej oczywiste i powszednie. Dała mi się wreszcie poczuć zwykłym, małym człowiekiem, rozmiłowanym w pięknie tego, co mnie

otaczało. Chwalące mnie więc za szlachetność rysów panie miały szczęście. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej musiałyby dyplomatycznie przemilczeć charakter mej fizjonomii. Teraz jednak mogły chwalić mnie do woli, tak jak to wypada zrobić. Było przez to miło i czas płynął szybko. Postanowiłem sympatyzować głównie z paniami młodszymi i piękniejszymi, nie tracąc czasu na otyłe i niezgrabne. Muszę przyznać, że przez tę wybredność wrzeszczałem nieraz wniebogłosy, gdy jakaś ciekawska paniusia podchodziła do mnie, żeby bliżej mi się przyjrzeć, i starając się być miłą, świeciła mi w oczy złotymi zębami.

Jakże było przyjemne to spacerowanie niby to po osiedlowych alejach niebiańskich ulic, skwerach parku Bibułowych Róż, ale tak naprawdę zawsze w kierunku młodych, zgrabnych pań, kręcących się po parku w towarzystwie zafrasowanych moim natręctwem i wścibstwem mężów oraz znudzonych dzieci, które, niezależnie od wieku, zawsze wydawały mi się dziecinne i kompletnie niedojrzałe. Śmieszyły mnie ich propozycje, by bawić się w chowanego, berka czy jeszcze inne bzdury.

Wzdłuż parkowych alejek dorastały piękne, najczęściej białe bądź czerwone róże, a wokół rozchodził się zapach skoszonych traw. Widok ten dawał poczucie, że oto budzi się z ogromną siłą prawdziwe życie. Wspaniałe i niepowtarzalne, a do tego pachnące niezwykle świeżo. W tamtych czasach ścinano trawę kosą, więc godzinami przyglądałem się pracy kosiarzy, szczególnie sposobowi ostrzenia narzędzia. Od



obserwacji ruchu osetki po ostrzu mogło mnie ode-  
rwać jedynie zgrabnie założona przez kobietę noga na  
nogę. Albo buzia ukryta w burzy włosów.

Mijały dni, tygodnie i całe miesiące, a ja chłonałem  
te niezakryte skrawki kobiecości, obserwując je ze-  
wsząd: w parku, a także w mieszkaniu, z ziemi, dywanu  
czy fortepianu. Dzięki temu wyrobiłem sobie sposób  
patrzenia na kobiety, który później już tylko skrętnie  
doskonalilem, obserwując je w kolejkach po balerony  
i szyneczki. Co tu gadać, czysty seksizm.

Nie interesowało mnie, co na ten temat sądziłyby  
same zainteresowane. Pewno uważały, że to niemoż-  
liwe, by taki mały brzdąc lustrował je erotycznie. I do-  
brze, uwolniony od podejrzeń mogłem swobodnie  
obserwować ich nagie albo opięte w pończochy łydki,  
a nawet, przy odrobinie szczęścia, wygładzone, krągłe  
kolana i mięsiste uda. Tak się składa, że właśnie te części  
ciała znajdowały się wówczas na wysokości mojej głó-  
wy, dlatego też oglądałem je zupełnie niepostrzeżenie.

Nie mogłem się nadziwić, że moi rówieśnicy chwy-  
tali łopatkę, grabki i wstawali z klęczek po to, by zwy-  
czajnie biec do piaskownicy, kiedy ich o to proszono.  
Sam wychodziłem z niej codziennie niezmiernie znu-  
dzony, zostawiając losowi zrobione wcześniej wiader-  
kiem na ochrzan piaskowe babki. To było jak swoiste  
*katharsis*: w chwilę potem sunąłem jak duch w stronę  
babek ulepionych nie z byle jakiego tam piasku, tylko  
z krwi i kości.

Czasem złość, że tyle dobra pozostaje poza zasię-  
giem moich małych rączek, była tak duża, że wracałem

do piaskownicy, niszcząc wszystkie zamki z piasku. Choć budujące je dzieci były z nich bardzo dumne, nie odznaczały się niczym wyjątkowym, wszystkie wyróżniała jedynie pospolitość.

Mama i tata oczywiście niczego nie podejrzewali. Trudno byłoby im przecież uwierzyć, że ich czteroletni syn jest zwykłym lowelasem, który zamiast bawić się resorówkami i klockami, albo w „dom”, czaruje i przymila się do pięknych pań, robiąc własną erotyczną układankę.

Całowałem w myślach delikatne, kobiece dłonie i tak było przez cały czas, na klatce schodowej, na huśtawce, na ulicy, wszystko jedno. Moja namiętność nie stygła nawet na lekcjach religii, na których dla pięknej siostry Klary uczyłem się na pamięć wierszyków o Panu Bogu, Jego łasce, niezmiernym dobru i tolerancji. Wszystkie te dowody miłości zanosilem później właśnie owej siostrze, która z niezmiernie pięknym obliczem nauczała nas w kościele Świętego Bonawentury religii. To wszystko było dla mnie w jakiejś sprzeczności, choć nie znałem wówczas tego słowa: piękna kobieta i zimny, kamienny kolos. Sutki i milczące wieże, pasja w milczeniu, miłość we wstrzeźliwości. Piękno, które jest przeznaczone jemu.

- Komu?
- Jemu.
- Czyli komu?
- Najwyższemu.
- Komu? – nie odpuszczałem.
- Jemu, czyli Najwyższemu.

Na dowód swych uczuć w domu malowałem święte obrazki, które jej zanosilem, a ona mnie nigdy nie zawiodła, nagradzając każdy z nich wielką piątką z krągłym brzuszkiem. Wszystko to robiłem wyłącznie dla niej, cudnej urody jasnowłosej dziewicy z wysokim czołem, łagodnym spojrzeniem i arystokratyczną bładzią skóry. Teraz dopiero doceniłem fakt, że mnie ochrzczono. Zrozumiałem, co naprawdę mogę zyskać dzięki chrztowi. Ba, dzięki przynależności do Kościoła miałem okazję przyglądać się z bliska i słuchać najbardziej nieskazitelnej osoby na świecie, przypominającej mi do złudzenia te wszystkie święte osoby z obrazków, szczególnie Marię. Byłem pewien, że Klarysa jest po prostu nią. Taka była do niej podobna. Ten sam wzrost, delikatne lico, lekko zarysowane usta i błękitne oczy. Jak z obrazka.

Podetknąłem więc babci pod nos jeden ze zgromadzonych przeze mnie obrazków:

– Babciu, to jest ta pani, prawda? – pytałem, wskazując to jedną, to drugą z nich.

Babcia tylko wykrzywiła usta w uśmiechu.

– No co ty, bój się Boga, Stasiu, to przecież jest Maryja, matka Jezusa Chrystusa. Ona żyła dwa tysiące lat temu, w Judei.

– Aha – odpowiedziałem zmartwiony, ale naraz wróciła do mnie nadzieja:

– Ale babcia żartuje, prawda? Przecież widzę, że to ta sama pani, co na obrazku.

Babcia zafrasowała się.

– Nie ta sama, tylko podobna.

– No, to może jest córka w takim razie – zauważyłem chytrze.

Babcia na to zatroskała się jeszcze bardziej.

– Stasiu, wiesz, ile to jest dwa tysiące lat? Poza tym Maryja była dziewicą.

Zdawało mi się, że gdzieś już wcześniej słyszałem to określenie, ale zupełnie nie wiedziałem, co ono oznacza.

– A co to takiego dziewica? – spytałem, poważnie zainteresowany tematem.

Babunia najpierw buchnęła śmiechem, by w końcu po poważnym zastanowieniu odpowiedzieć mi:

– To takie nietknięte jeszcze, niezbrukane.

Taki byłem mały, a od razu złapałem sens słów „nietknięta”, „niezbrukana”. A zatem szczęśliwa i dobra? A może szuka i nie poznała jeszcze swojej drugiej połówki?

Babcia nie potrafiła mi odpowiedzieć na to pytanie, więc założyłem sobie, że odpowiedź na nie jest po mojej myśli.

Myślałem na okrągło tylko o siostrze Klarze, sądząc, że modli się o to, bym w przyszłości został jej mężem. Pasowaliśmy do siebie, ponieważ oboje żyliśmy w świecie takiej dziecinnej niewinności, odsuwając w niebyt całe zło tego świata. Tyle tylko, że gdy przyszło jej sprawdzać obecność na katechezie, wywoływała mnie z ławki, krzycząc z rumieńcem na twarzy:

– Staś Szatan.

– Obecny! – krzyczałem wówczas najgłośniejszym, jak potrafiłem. W drodze do sacrum nie chciałem ominąć

żadnego szczebla. Nawet najmniejsza rysa w postaci nieobecności byłaby dla mnie nie lada ciosem. Byłem przecież poważnie zakochany. By zyskać względy u obiektu mego pożądania, malowałem otrzymywane od siostry obrazki najładniej, jak potrafiłem. Tak się starałem, że siostra Klara nie miała serca mnie utrać, mimo nazwiska. No i zawsze lądowała w moim dzienniczku piątka. Przy którejś z kolei piątce, zaintrygowana podobieństwem Klary do Maryi, babcia zapytała siostrę wprost:

– Siostrzo Klaro, a kto maluje te piękne obrazki? Nigdzie nie widziałam takich ładnych.

Klara popatrzyła na nią z wyraźnym zadowoleniem i szczerząc szeroko zęby, odparła:

– Ja, proszę pani, projektuję te obrazki.

\*

Moi rodzice ciężko pracowali na życie, więc po kilku latach dostali zasłużony przydział na niewielkie mieszkanie w Niebie, przy ulicy Pałeczki. Ulica znajdowała się w sąsiedztwie głównej arterii komunikacyjnej miasta, na której organizowano pierwszomajowe pochody. Wszystkie znajdujące się na niej latarnie i pomniki były w Święto Pracy dekorowane flagami na kiju. Od rana spacerowałem między nimi z lizakiem w buzi, w samym słońcu, w poczuciu wszechogarniającej beztroski. Tego dnia wszystko było takie radosne i świeże: coraz mocniej pachniało wiosną, a powietrze rozcinała dynamiczna gra orkiestry, energiczne i hałaśliwe uderzenia